

Flora załamała ręce z rozpaczy. Arnold rzucił się niedbale na sofę; układał w duszy plan cały.

Koło północy zerwał się nagle, zniecierpliwiony czekaniem — plan był obmyślany całkowicie.

Noc była nieco zimna i dżdżysta, więc podniósłszy kołnierz do góry, zeszedł zwolna po schodach.

Droga nie była daleka. Pod zwisającymi gałęziami rozłożystej lipy, stojącej tuż obok bramy wchodowej, przystanął, ażeby rozpatrzyć się dokładnie we wszystkim. Przed sobą widział całe domostwo jak na dłoni, lecz chociaż wytrwał na stanowisku przeszło dwie godziny i wsłuchiwał się w najdrobniejszy szelest z gorliwością Bodgera, nie mógł odkryć nic podejrzanego — dokoła panowała głęboka, majestatyczna cisza, przerywana od czasu do czasu uderzeniem kościelnego zegaru.

Koło godziny jedenastej następnego dnia zjawił się Arnold na śniadanie.

— Szczęście nie sprzyjało mi wczoraj — odezwał się ze złością do panny Derwent — ale sam sobie jestem winien! Swojem wypytaniem zmusiłem Fairforda do zdwojenia czujności! Poczekam jednak cierpliwie, a czas wykaże nie bawem, kto prędzej ustanie, ja czy, Fairford?!

We wsi Rookfield był jeszcze ktoś inny, co się zajmował równie gorąco tą sprawą.

Liza Mogford, wysłuchawszy nabożnie mszy świętej w niedzielę, udała się niezwłocznie do swego ojca, starego grabarza.

Dom Mogforda, nie wielki, lecz utrzymywany w należytych porządku, znajdował się tuż obok cmentarza, położonego na końcu malowniczej wioski.

— Mnie się znów zdaje Lizo — zabrała głos pani Mogford — że ty spotkałaś się z upiorem. Możesz być tego zupełnie pewna, gdyż i ja widziałam coś podobnego dzień przed śmiercią ciotki Lotti.

— Dowiemy się niebawem — odpowiedział stary Mogford.

Ciekawa jestem, jak się ojciec zabierze do rzeczy? — spytała Liza.

— Będę starał się przyglądać jej się możliwie najdokładniej.

Po długich debatach urządzono wreszcie, że obaj synowie pójdą w nocy z ojcem na cmentarz, celem zdemaskowania owej tajemniczej damy.

Plan przyszedł szybko do skutku, przyjęto go jednogłośnie i już w poniedziałek rano mogła być Liza donieść pannie Derwent o ważnej uchwale, jaka zapadła w jej rodzinie.

Panna Derwent spotkała tego samego dnia jeszcze Fairforda na ulicy. Wdała się z nim natychmiast w rozmowę i po paru słowach poznała niebawem, że Fairford zapomniał zupełnie o nie przyjemnych wypadkach, jakie rozegrały się dnia poprzedniego. Ze zwykłą sobie swobodą pytał o Annę, wyrażając nadzieję, że przecież raz musi nastąpić polepszenie.

— Przeciwnie, panie Owenie — odparło dziewczę ze smutnym uśmiechem — z Anną z dnia na dzień gorzej! Był właśnie doktor w tej chwili i zbadawszy ją, orzekł, że Anna skona prawdopodobnie w ciągu tej nocy. Namówił mnie gwałtem prawie do zacerpnienia troszkę świeżego powietrza, gdyż w przeciwnym razie, nie pomyślałabym nawet o pozostawieniu umierającej Anny samej.

Skoro ujął jej drobną, wychudłą rączkę i spojrzał ze smutkiem w jej melancholijne oblicze, poczuła nagle ogromną ochotę zdradzenia Owenowi całego planu Arnolda, wypowiedzianą się przed nim z całej tajemnicy. Nie uczyniła tego jednak, choć serce parło ją prawie do tego kroku, chociaż bała się o Fairforda, wiedząc, jak Arnold na wspólną z Mogfordami będzie śledził dniem i nocą biednego Owena.

Lecz nie z tej strony zagrażało największe niebezpieczeństwo Fairfordowi.

Bodger posłyszał przypadkowo w gospodzie pod „Złotym Lwem“ o planie Mogforda, postanowił więc pracować dalej niezmordowanie i nie pozwolić im otrzymać wyznaczonej nagrody. Z zadowo-

leniem ogromnem przypatrywał się zmianie, jaka gotowała się w całej naturze.

Gęste chmury gromadziły się nad wioską, lada chwila miał lunąć deszcz.

Nawet gdyby Mogfordowie wybrali się dzisiaj na poszukiwania, trudy ich spełzną na niczem, gdyż tajemnicza dama z pewnością nie pokaże się tej nocy.

Bodger udał się do swojej sypialni koło 11 godziny. Deszcz lunął rześście, gdy nagle posłyszał Bodger dobrze mu znane skrzypienie drzwi i w oddaleniu paru kroków ujrzał tuż obok bramy jakąś czarną osobę. Twarzy nie można było dostrzec, gdyż zasłoniła ją dużym parasolem. Zwolna posuwała się naprzód, idąc drogą w stronę cmentarza.

Jakkolwiek zależało ogromnie Bodgerowi na śledzeniu tajemniczej postaci, tym razem nie odważył się jednak iść śladem tajemniczego gościa. Po pierwsze burza szalała poprostu, po drugie przewidywał starcie z Mogfordami, czego starał się zawsze unikać.



Wtem przesunęła się tajemnicza postać, najzupełniej zgodna z opisem Lizy.

Trzy osoby, osłonięte najrozmaitszymi ubraniami, stały w samej rzeczy przy wejściu na cmentarz. Deszcz siełk nieustannie, Mogfordowie nie ustępowali. Stary Mogford żałował tylko, że posłuchał rady niebacznych synów, wskutek czego zmuszony był teraz moknąć na deszczu.

— Wpół do pierwszej — zawołał z cicha Janek, wsłuchując się w miarowe uderzenia kościelnego zegaru.

— Chciałbym tylko wiedzieć, jak to długo potrwa — mruczał stary Mogford, próbując się lepiej osłonić jakimś starym kocem, który miał na sobie.

— Cicho! — zawołał Janek — słyszę jakieś kroki.

Przysunęli się do siebie i nad słuchiwali w milczeniu. Wśród monotonnego pluskania deszczem zauważyli nagle jakiś niewyraźny odgłos kroków, ktoś zbliżał się do nich z każdą chwilą.

— Janek — zawołał Jakób, zbliżając się do brata — ja z ojcem pozostanę na miejscu, ty zaś pójdziesz naprzód i napadniesz na tę kobietę!

— Niema głupich — ja pozostanę z ojcem, a zrób to ty!

— Najlepiej niech ojciec zacznie — zauważył Jakób, straciwszy nagle wszelką ochotę.

— Wszyscy trzej zastąpimy jej drogę — rozstrzygnął ojciec.

Postać zbliżała się coraz bardziej. Ostrożnie przysunęli się nieco bliżej i wystawiwszy głowy poprzez mur obserwowali z zainteresowaniem zbliżającą się szybkim krokiem osobę. Zęby dzwoniły im ze strachu, a stary Mogford przejawiając się widocznie za bardzo tą sprawą, drżał jak potępieńiec w dzień sądu ostatecznego.

Wtem przesunęła się tajemnicza postać, najzupełniej zgodna z opisem Lizy. Twarz zasłoniła dużym parasolem, lewa ręka zwiślała martwo bez ruchu. Mogfordowie przysunęli się jeszcze bliżej ku sobie i pod ochroną muru czołgali się w stronę bramy cmentarnej. Stary Mogford otworzył drzwiczki.

— Nie rób ojciec głupstw — zawołał przyciszonym głosem Jakób, woląc zostać zdala od tajemniczej postaci.

Stary odzyskał jednak zwolna zimną krew, mając u boku najstarszego syna, wyskoczył szybko na drogę, starając się powstrzymać przechodzącą osobę.

Parasol wyleciał w górę i ku swemu największemu zdziwieniu ujrzeli Mogfordowie dobrze im znanego Owena. Czarny, gruby płaszcz, który miał na ramionach, zmienił go do niepoznania, a wśród szalonej ciemności, jaka panowała teraz, łatwo go można było wziąć za tajemniczą kobietę.

— Czego chcecie odemnie? — zapytał Fairford, mierzając ich gniewnym spojrzeniem — dlaczego zastępujecie mi drogę?!

Stary grabarz, wpadłszy tak fatalnie w pułapkę, przestępywał z nogi na nogę i skrobiąc się w rudą głowę, szukał nadaremnie trafnej odpowiedzi. Koc opadł z niego zupełnie — zmoczony do nitki, błagał złamanym głosem o przebaczenie. Zwrócił się w stronę swego domostwa, przeklinając świat cały i złorzeczając synom, że namówili go do tej zupełnie niepotrzebnej wyprawy, a już najbardziej wygrażał się Lizie, jako że ona była właściwą sprężyną w tej całej sprawie.

Lecz wypadki tej nocy nie dobiegły jeszcze końca.

Bo i Arnold pragnął zedrzeć zasłonę z twarzy tajemniczej damy. Wierny swemu postanowieniu stał właśnie na straży i niezmordowanie starał się odgadnąć na nowo tę okropną zagadkę. Złorzeczył samemu sobie, że odważył się złożyć wizytę Fairfordowi jedynie w tym celu, aby go wybadać. Owen zorientował się natychmiast w sytuacji i gdyby nie zdwojona ostrożność, byłaby tajemnicza dama już dawno wpadła w jego ręce.

Noc dzisiejsza zdawała się sprzyjać planom Arnolda. Przypuszczał, że Owen wypuści teraz z ukrycia tę damę, spodziewając się słusznie, że wobec takiej burzy, jaka szalała

właśnie na polu, nikt nie zechce tracić niepotrzebnie czasu na nierozsądne śledzenie.

Koło wpół do 11 w nocy począł się Arnold niepokoić. Deszcz lał strumieniami, tajemnicza postać nie nadchodziła. Lecz oto posłyszał szelest sukien. Szybko poskoczył naprzód i skradając się koło parkanu ogrodowego, starał się zastąpić jej drogę przy wyjściu, do którego zmierzała. Mimo szalonej prawie gonitwy przybiegł Arnold zapóźno. Wzburzony do najwyższego stopnia, rzucił się za uciekającą postacią, gdy nagle drzwi rozwarły się na oścież i Arnold ujrzał przed sobą bladą twarz Fairforda. Lecz Arnold nie umiał jeszcze zapamiętać nad sobą. Z beczelnością, przechodzącą wszelkie granice, zastąpił drzwi nogą, starając się dostać do wnętrza.

— Precz z mego domu! — zabrzmiał groźny głos Owena.

Kiedy Arnold nie ruszał się z miejsca, mimo wyraźnego rozkazu, wściekłość ogarnęła Fairforda. Nie bacząc na skutki, podniósł groźnie dłoń swoją i uderzył pięścią w głowę Arnolda.

Arnold upadł na ziemię jak długi. Padając, starał się wesprzeć na łokciu, wskutek czego złamał sobie rękę.